

POLSKA – EUROPA – USA INTERESY I PERSPEKTYWY WSPÓLDZIAŁANIA

Departament Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Instytut Zachodni zorganizowały 6 czerwca 2003 r. w Poznaniu seminarium pt. „Polska – Europa – USA. Interesy i perspektywy współdziałania”. Spotkanie miało charakter zamknięty i wzięli w nim udział przedstawiciele administracji państwowej i środowisk naukowych. W trakcie konferencji zastanawiano się nad podłożem głębokich napięć w stosunkach transatlantyckich oraz ich skutkami dla polskiej polityki zagranicznej.

Obrady podzielono na dwie części poświęcone nowej formule przywództwa USA i jej konsekwencjom dla Europy oraz dylematom polskiej polityki bezpieczeństwa.

Konferencję otworzyła prof. **Anna Wolff-Powęska**, dyrektor Instytut Zachodniego w Poznaniu, która w swym wprowadzeniu stwierdziła:

„(...) w niewielkiej książce pt. *O pożytkach z wątpliwości* Zygmunt Bauman, oceniając kondycję ludzką u progu XXI wieku, mówił o pewnym zakłóceniu równowagi. Z jednej strony, człowiek wyposażony w najnowsze cuda techniki pokonuje niewyobrażalne czasoprzestrzenie, gdzie słuch, wzrok nie stanowi żadnych granic, a z drugiej instynkt moralny nie ulega żadnemu wyostreniu. Gdyby tę nierównowagę przenieść na obszar polityki można by powiedzieć, że między naszą wiedzą, naszymi możliwościami i działaniem i między działaniem a konsekwencjami powstają coraz większe rozpadliny. Polityka zaś potrzebuje pomostów, a ich budowanie i przerzucanie w świecie globalnym jest coraz bardziej utrudnione.

Spotykamy się proszę Państwa dzisiaj, aby wspólnie uporządkować i przemyśleć zagadnienia stosunków transatlantyckich. Skłania do tego nie tylko tempo przeobrażeń, które sprawiają, że zakres pojęć i definicji, którymi dysponujemy okazują się niewystarczające. Dzisiaj wszystko jest w ruchu, zadajemy sobie pytanie, czym jest nowe przywództwo, co oznacza solidarność, co znaczy demokratyzowanie wieloetnicznych społeczeństw, na czym bazuje racja stanu, czym jest bezpieczeństwo w warunkach kiedy obrona naszej ojczyzny rozpoczyna się już daleko od naszych granic, a klasyczne kategorie, jak geopolityka i geografia przestały pełnić swoją rolę. Mam nadzieję, że przynajmniej części tych problemów dotkniemy i spróbujemy się do nich ustosunkować.

Chciałam szczególne słowa podziękowania skierować w stronę Dyrektora Departamentu Strategii i Planowania pana doktorar Piotra Świtalskiego, dzięki którego zaangażowaniu i ogromnej życzliwości to dzisiejsze spotkanie jest w ogóle możliwe”.

Pierwszej części konferencji pt. „**Nowa formuła przywództwa USA – konsekwencje dla Europy**” przewodniczył prof. **Witold M. Góralski** z Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Warszawie. Rozważania uczestników skupiły się

na zagadnieniu zmieniającej się roli Stanów Zjednoczonych w polityce światowej, wpływie nowego przywództwa USA na spójność Unii Europejskiej i jej ambicjach w zakresie kształtowania wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Ponadto na kwestii dalszego zaangażowania USA na kontynencie europejskim, w tym szczególnie w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego. Ważnym pytaniem było, czy tendencja do dyferencjacji krajów europejskich, a w tym akcentowania wagi i znaczenia krajów Europy Środkowej, ma charakter doraźny, czy też stanowi nowy element strategiczny w polityce Stanów Zjednoczonych.

Wśród gości biorących udział w tej części przewidzianej jako panel znaleźli się: prof. Adam Daniel Rotfeld, podsekretarz stanu MSZ, ambasador Witold Waszczykowski, prof. Jadwiga Kiwerska, Instytut Zachodni, prof. Krzysztof Michałek, Instytut Historyczny UW.

Prof. **Witold M. Góralski** podjął na wstępie próbę usystematyzowania zagadnień w prowadzonym przez siebie panelu:

„Temat dzisiejszego spotkania jest ramowy i wymaga pewnego uściślenia w każdym z paneli. Mamy tak szczęśliwie ułożony skład uczestników, że możemy łączyć analizę z praktyką, analizę z syntezą, ponieważ mamy praktyków i naukowców, którzy zajmują się tą problematyką od dawna. Wszyscy razem możemy się złożyć na pewną zbiorową mądrość, jaką będą wyniki tego spotkania. Chciałbym Państwu zaproponować odpowiedź na trzy zasadnicze pytania:

1) Czy Stany Zjednoczone w kontekście Iraku budują nowy ład międzynarodowy w swoim interesie czy w swoim interesie i interesie społeczności międzynarodowych – jako pytanie wiodące odnoszące się do głównego nurtu dzisiejszej dyskusji.

2) Czy Europa, przy dzisiejszym stanie zorganizowania jest w stanie wziąć udział w budowie tego ładu, jeżeli byśmy uznali, że taki ład jest budowany i czy może być partnerem Stanów Zjednoczonych w tej dziedzinie?

3) Jakie jest miejsce Polski w tych nowo tworzących się elementach środowiska międzynarodowego, które powstaje przy współudziale tak mocnych sił międzynarodowych, poczynając od jednego z największych mocarstw, a kończąc na ONZ”.

W pierwszym wystąpieniu prof. **Jadwiga Kiwerska** wskazała na istotne cechy przywództwa amerykańskiego i jego odniesienia do europejskiej mentalności politycznej, stwierdzając m.in.:

„Nowa formuła przywództwa USA – konsekwencje dla Europy’ to w zasadzie jest temat – teza, zakładająca istnieje czegoś takiego, jak nowa formuła przywództwa amerykańskiego. Wydaje mi się, że pewne elementy obecnego przywództwa amerykańskiego są może nie tyle nowe, co wyraźnie wyeksponowane. Przywództwo amerykańskie ma pewne charakterystyczne cechy, które towarzyszą działaniom Amerykanów na arenie międzynarodowej od wielu lat i to, co się dzisiaj dzieje nie jest tylko i wyłącznie następstwem wydarzeń 11 września. Nie są one wynikiem ostatnich miesięcy, czy lat i nie są wyraźnie związane z administracją George’a Busha. Są to elementy przewijające się w działaniach Stanów Zjednoczonych od momentu, kiedy zerwały, czy próbowały zerwać z izolacjonizmem. Interesujące jest właściwie to, dlaczego ocena formuły przywództwa amerykańskiego tak dzieli Europę i czy są jakieś jego składniki możliwe do zaakceptowania na starym kontynencie.

Ta zła ocena jest wynikiem przemian, które dokonały się w Europie i wyrosłego na ich gruncie poczucia siły oraz zniknięcia zagrożenia, które istniało w okresie zimnej wojny. Jest też problem braku spoiwa splatającego partnerstwo transatlantyckie, ale też procesu integracyjnego w Europie, który

wywołuje pewne problemy. Powoduje, że Europa w większym stopniu interesuje się kwestiami wewnętrznymi, niż globalnymi. Te zaś pozostają w sferze zainteresowań Stanów Zjednoczonych.

Które elementy przywództwa amerykańskiego są najtrudniejsze do zaakceptowania przez państwa europejskie? Wydaje mi się, że po pierwsze, jak mówią krytycy, jest to instrumentalne traktowanie przez Stany Zjednoczone organizacji międzynarodowych i prawa międzynarodowego. Ma to swoje uzasadnienie. Stany Zjednoczone traktują bowiem organizacje międzynarodowe jako swego rodzaju utrudnienie w ich globalnej działalności. Zdarzają się sytuacje, w których organizacje tę wiążą im ręce. Z kolei Europejczycy traktują organizacje międzynarodowe jako substytut pewnej siły, którą w ich ramach posiadają. To właśnie w ONZ siła Stanów Zjednoczonych i siła państw europejskich jest niemalże równa. Jeśli chodzi o instrumentalne podejście do prawa międzynarodowego, to wydaje się, że ten element jest rzeczywiście trudny do przyjęcia na gruncie europejskim.

Kolejną kwestią jest łączenie pierwiastka idealistycznego i realistycznego w polityce amerykańskiej. Pierwszy z nich jest czymś prawie zawsze obecnym w polityce amerykańskiej. Nawet w okresie zimnej wojny większości interwencji zbrojnych USA nadawano charakter idealistyczny. Mówiono o pewnej misji Stanów Zjednoczonych, o obronie demokracji, o działaniu w imię wyższych interesów, nadawano tym interwencjom charakter krucjaty. Elementy te dla bardzo realistycznie myślących Europejczyków, których politycy nie posługują się tego typu retoryką, są trudne do zaakceptowania.

Trzeba też spojrzeć na Amerykę jako na kraj, który właściwie nie ma typowych elementów narodowych, łączących państwa europejskie. To jest wielka mozaika etniczna. I jeszcze jeden ważny element, to sprawa wykorzystania siły w polityce międzynarodowej. Stany Zjednoczone jako wielkie supermocarstwo, dysponujące ogromnym potencjałem zbrojeniowym w sposób naturalny dążą do wykorzystania tej siły w realizacji swojej polityki. Amerykanie uważają, że można to uczynić dla urzeczywistnienia pozytywnych celów.

Europa jest słabsza w swym potencjale zbrojeniowym i w sensie interesów globalnych, stąd Europejczycy niechętnie odnoszą się do realizacji wielkich, globalnych amerykańskich dążeń. Europa ma swoje problemy, swoją integrację, i to jest dla niej najważniejsze, a Stany Zjednoczone przypominają jej, że są różne zagrożenia zewnętrzne (pozaeuropejskie), o których należy myśleć. Wiąże się z tym oczywiście kwestia negocjacji i użycia dyplomacji w polityce, która dla Europy jest bardzo ważna. Podobnie jest z kwestią podejścia do funkcjonowania organizacji międzynarodowych, w których głos Europy może być słyszalny i gdzie czuje się silniejsza.

W procesie integracji Stary Kontynent nauczył się negocjować. Wszystkie elementy składające się na Wspólnotę powstały na zasadzie negocjacji, rozmów, kompromisów i konsultacji. To są wieczne targi, które niestety długo trwają, ale Europa w tym czuje się dobrze. Natomiast Ameryka, uważa, że jako przywódca musi być skuteczna w działaniu i mieć odwagę podejmowania skutecznych i szybkich decyzji. Czasami są one trudne i czasami ten 'przywódca' jest dramatycznie osamotniony, ale na tym to przywództwo polega.

Kiedyś ktoś oglądał globus w poszukiwaniu rajy na ziemi, bardzo długo szukał tego rajy, nie mógł go znaleźć i poprosił o inny globus. Proszę Państwa innego globusa nie ma, podobnie jak nie ma innej Ameryki. Z potęgą amerykańską, która jest i przez długi jeszcze czas będzie trzeba nauczyć się żyć".

Ambasador **Witold Waszczykowski** zwrócił uwagę m.in. na problem różnic w podejściu do stosunków międzynarodowych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Europą, połączony z projekcją racjonalizacji polityki europejskiej w kontekście innego widzenia świata i projekcją przyszłościowego problemu zmian w sojuszu transatlantyckim:

„Jeśli chodzi o dyskusję na temat przywództwa amerykańskiego i stosunków transatlantyckich, to mamy do czynienia z dwoma wizjami: pesymistyczną i optymistyczną. Wizja optymistyczna zakłada, że na obecnym poziomie 'tapnięcie' i dyskusja transatlantycka nie jest niczym nowym. W stosunkach między Europą a Stanami Zjednoczonymi od czasu do czasu takie kryzysy następują.

Wspomina się o tym, że Francja zapewne zrozumie, albo już zrozumiała, iż interesy jej i USA w zasadzie pokrywają się. Francja została usatysfakcjonowana będąc określoną przez świat jako rzecznik Europy i w związku z tym osiągnęła swój cel. Wróci więc do pewnego bardziej zrównoważonego dialogu ze Stanami Zjednoczonymi. W ramach tej wizji zakłada się, że w miarę zbliżania się prezydenckiej kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych polityka George'a Busha będzie również ulegała pewnej moderacji, umiarkowaniu i będzie on stopniowo odchodził od neokonserwatywnej retoryki. To optymistyczne spojrzenie powołuje się na amerykańskie zarzuty wobec Europy, które można streścić w ten sposób, iż Europa nie partycypuje w obciążeniach obronnych, toleruje antyamerykanizm i oczekuje automatycznego angażowania się Stanów Zjednoczonych w kwestie wysokiego ryzyka. Odwrotnie, Europa zarzuca Stanom Zjednoczonym militarystyczną retorykę w polityce zagranicznej, skłonność do przedkładania konfrontacji nad negocjacje i niedoceniając europejskiej kontrybucji.

Chcę tylko powiedzieć, że są to cytaty z artykułów, które były publikowane ponad 20 lat temu, napisał je generał Rogers, ówczesny szef wojsk alianckich w Europie. Czyli w ramach tej wizji optymistycznej twierdzi się, że cały czas mamy do czynienia z tego typu dyskusją. Wizja pesymistyczna utrzymuje, iż jednak mamy pewne nowe elementy w dialogu transatlantyckim. Pojawiły się nowe zagrożenia i nowa taktyka wrogów Europy i Stanów Zjednoczonych. Mamy nowe wcielenie terroryzmu (terroryzm organizowany przez tzw. *non state groups*), mamy absolutną pewność, że w tej chwili grupy te mogą już zbudować tzw. brudną bombę jądrową. Mamy również zagrożenia związane z procesem globalizacyjnym, jak np. w dziedzinie informatyki. Następną nowością od kilku lat jest brak wspólnego adwersarza, brak pewnego spoiwa sojuszniczego. To powoduje, że trudno jest prowadzić dyskusję – przed kim i jakimi metodami mamy się bronić jako ugrupowanie transatlantyckie. Wreszcie pewną nowością jest to, że wypomina się Bushowi militaryzację i wzrost budżetu wojskowego. Europa podejrzewa, że George Bush prawdopodobnie chciałby doprowadzić do dalszego rozwoju taktycznej broni nuklearnej, a nawet złamania moratorium na testy. To podejrzenie wywołuje amerykańską chęć zbudowania bomb, które by penetrowały kwatery terrorystów, bunkry dyktatorów. Jako że bomby konwencjonalne mają pewne ograniczenia, to Europejczycy podejrzewają, że Amerykanie w tej chwili byliby skłonni legitymizować użycie małej taktycznej broni nuklearnej.

Amerykańskie myślenie strategiczne jest bardzo kompleksowe. Dotyczy ono zagrożeń zarówno transnarodowych, jak i tradycyjnych. Grupuje sojuszników na kilka kategorii, tych którzy współpracują ze Stanami Zjednoczonymi, tak jak Izrael czy Polska, na sojuszników kłopotliwych, dajmy na to Pakistan i odrębną kategorię sojusznika, którym jest Rosja. Amerykanie nie postrzegają sytuacji międzynarodowej w tak bardzo uproszczony sposób, jak to widzą Europejczycy. Postrzegają natomiast Europę jako ugrupowanie samoabsorbujące się, zajęte budową Unii, sprawami wewnętrznymi, prowadzące rozbieżną, nieefektywną politykę zagraniczną. Amerykanie oskarżają Europę o brak środków, jasnych celów oraz politycznej woli. Co więcej, nie oczekują nawet, że poszerzenie Unii o kolejną dziesiątkę w najbliższym czasie dokona zwrotu Europy w kierunku międzynarodowego zaangażowania w kwestiach globalnych. Amerykanie dostrzegają, że większość nowych członków Unii nie ma możliwości, ani wizji głębi strategicznej, aby włączyć się w politykę globalną.

I tu rodzi się pytanie, czy w związku z tym Europę i Amerykę dzieli przepaść wartości kulturowych, czy raczej spór dotyczy technologicznej kwestii zarządzania kryzysami. Czyli takich jak: rola rządu, użycie sił zbrojnych, czy nawet czas potrzebny na rozwiązanie kryzysu. Wydaje się, że Unia Europejska nie odgrywa istotnej roli w dziedzinie bezpieczeństwa europejskiego. Rolę tę nadal odgrywa NATO. Jednak sojusz północnoatlantycki staje się coraz bardziej systemem bezpieczeństwa zbiorowego. Taki system zakłada zaś istnienie wspólnych interesów. Tymczasem, jak postrzegamy w Europie brakuje zagrożeń, zatem jeśli każdy jest sojusznikiem każdego, to tak naprawdę nikt nie jest sojusznikiem nikogo. W takiej sytuacji rozpoczynają się bilateralne gry. W czasie konfliktu irackiego, poszczególne państwa europejskie starały się określić swoje stanowisko poprzez bilateralne układy ze Stanami Zjednoczonymi. Wydaje się zatem, że należy uciec od takiej bilateralizacji, która może prowadzić do renacjonalizacji polityki zagranicznej państw europejskich, czyli sytuacji, którą mieliśmy w okresie międzywojennym.

Innym fenomenem jest pewna powszechność zagrożeń, niektórzy nawet twierdzą demokratyzacja zagrożeń. W tej chwili każdy może zagrozić każdemu. Biorąc pod uwagę terrorystyczne, asymetryczne środki, można sobie wyobrazić sytuację, iż węglik wyprodukowany w Malezji może zaatakować Polskę. Państwa bandyckie będą coraz śміiej poszukiwały niekonwencjonalnych środków powstrzymania zachodniej 'interwencji', niekoniecznie militarnej, ale także kulturowej. Jest to dla tych państw swoista rywalizacja o wolność zachowania się i posiadania manewru politycznego. Tak jak kraje zachodnie chcą mieć pewną możliwość interwencji, dlatego rozwijają technologiczne swoje zdolności wojskowe, tak również i tamte państwa, zagrożone tą interwencją, będą starały się, aby mieć pewien instrument, który przed tą interwencją je obroni. Zatem nowy kurs transatlantycki nie może być definiowany wokół problemów europejskich, ponieważ albo ich już nie ma, albo tandem Stany Zjednoczone – Unia Europejska nie może rozwiązać tych, które dotąd istnieją, bo one wymagają innych środków.

Porozumienie transatlantyckie może być budowane wokół spraw globalnych, a na pewno pozaeuropejskich. Tylko zajmując się kwestiami istotnymi, relewantnymi porozumienie transatlantyckie może być wiarygodne i przetrwać istniejące rozbieżności. Potrzebne jest więc znalezienie wspólnej agendy, czyli nazywając to kolokwialnie, łączącego ugrupowanie transatlantyckie wspólnego wroga. Jeśli chodzi o propozycje w kwestii programu poprawy stosunków transatlantyckich (agenda wspólnych celów), to m.in. powinno powstać po obu stronach Atlantyku przekonanie o konieczności zwalczania terroryzmu. Winno ono być budowane przez wielopoziomowe konsultacje polityków, parlamentarzystów, analityków, biznesmenów, a nawet spotkania obywatelskie. Amerykanie podnoszą problem reformy obrony europejskiej. Naciskają stanowczo na odejście od narodowych wysiłków w kierunku tworzenia wspólnych jednostek. I tu można się zastanawiać, czy słusznie robi Polska kupując F-16. Jeśli Amerykanie naciskają, aby tworzyć jednostki wielonarodowe, to powinni być konsekwentni i domagać się, aby polskie niebo było chronione przez istniejące już armie czy floty lotnicze, a nie naciskać na nas, abyśmy weszli do wielonarodowych jednostek w innych dziedzinach [jedynie innych formacji poza powietrznymi – R. G.]. Jak widać dyskusja ta zawiera pewne niekonsekwencje.

Innym punktem programu poprawy stosunków transatlantyckich może być stworzenie wspólnego systemu nieproliferaacji broni masowego rażenia. Nawiązuję tutaj również do inicjatywy prezydenta Busha, który podniósł te kwestie w Krakowie. W dobie globalizacji i swobodnego przepływu towarów, musi powstać system zabezpieczający handel technologiami podwójnego zastosowania, szczególnie chemicznymi i biologicznymi. Dzisiaj państwo może zaatakować środkami niekonwencjonalnymi inne państwo odległe, z którym nie sąsiaduje, nie ma nawet interesów stycznych. Celem może się stać jedynie przez sam fakt przynależności do jakiejś koalicji czy ugrupowania. W związku z tym powraca pytanie o F-16. Czy w takim razie zamiast 40 samolotów, nie lepiej jest zająć się np. szczelnością granic, systemem komputerowym i systemem wykrywania wszelkich środków, które są zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju. Jest to też pewna idea, która pojawia się w różnych myślach analitycznych.

Wreszcie trzeci punkt w kwestii poprawy stosunków transatlantyckich, to jest agenda spraw pozawojskowych. Należą do niej problemy wspólnej walki przeciwko AIDS, bądź SARS i inne sprawy zdrowotne, międzynarodowe kryzysy finansowe. Kryzys finansowy w Afryce nie dotknie tak bardzo świata, jak kryzys finansowy w Stanach Zjednoczonych, bądź Europie. W związku z tym czy nie należy poświęcić więcej uwagi tym zjawiskom”.

Prof. Krzysztof Michałek skoncentrował się na omówieniu zasadniczych cech tzw. misji amerykańskiej i wnioskach jakie z tego wynikają dla polityki europejskiej, stwierdzając m.in.:

„Jeśli prawdą jest, iż polityka George'a Busha jest oparta na pojęciu misji amerykańskiej, to warto przyjrzeć się pewnym działaniom związanym z jej realizacją. Kwestią świadomego wyboru ze strony tej administracji było przyjęcie opcji unilateralizmu, zarówno w sensie koncepcyjnym (w 2000 roku

w trakcie kampanii wyborczej), jak przed oraz po 11 września. Bardzo istotne, gdy mówimy o realizacji tej misji, jest także postrzeganie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych w kategoriach nie tylko retoryki, ale również konkretnych działań w kategoriach walki dobra i zła. Nowa formuła rozpoczęcia wojen przez USA, myślę o wojnie prewencyjnej, była nieznaną w polityce amerykańskiej wcześniej. Nowa formuła dotyczy również prowadzenia wojen przez USA: dobór sojuszników według misji, a nie dobór misji dla sojuszników, jak to określił Donald Ramsfeld w czasie operacji afgańskiej. I w końcu warto również, także z perspektywy historycznej, spojrzeć na dwa momenty kończące ostatnie wojny. Otóż USA przyjęły nową formułę końca wojny. W XX wieku wojny z udziałem USA kończyły się albo bezwarunkową kapitulacją przeciwników, zawieszeniem broni, albo rozejmem prowadzącym do rozmów pokojowych. Po operacji afgańskiej mieliśmy oświadczenie prezydenta Busha o zakończeniu działań wojennych w masywie Tora-Bora, które zakończyło wojnę. Miesiąc temu mieliśmy kolejne oświadczenie o końcu działań wojennych w Iraku. Jest to nowa formuła, w której amerykański prezydent określa samodzielnie, bez większych konsultacji z partnerami (sojusznikami), moment wypowiedzenia wojny albo jej zakończenia.

Jakie wnioski zaczynają wypluwać dla tego wątku europejskiego i dla podziału na starą i nową Europę, który został ostatnio zwerbalizowany przez Donalda Ramsfelda? Przede wszystkim warto pamiętać, że ten podział jest podziałem naturalnym, a nie wykreowanym przez administrację George'a Busha. Jest takim według mnie, ponieważ zachodnią część Europy, członków UE i tych, nazwijmy to starych, tradycyjnych partnerów w *NATO*, dzieli od Polski i wielu innych państw regionu (nowych albo przyszłych członków *NATO*) poczucie bezpieczeństwa narodowego. Pojęcie 'amerykańskiego konia trojańskiego', które stosowano w ciągu kilku ostatnich miesięcy, nie jest nowe. Zostało ono sformułowane przez francuskiego ministra spraw zagranicznych w 1998 roku, kiedy Francja w czasie operacji 'Pustynna burza' odmówiła udzielenia zgody na przelot amerykańskich i brytyjskich samolotów przez swoją przestrzeń powietrzną, a Polska dyplomatycznie poparła wówczas atak na Irak. Podział na nową i starą Europę zatem jest podziałem naturalnym, obiektywnie występującym. Większa proamerykańskość Polski, czy Bułgarii i Rumunii jest również naturalnym zjawiskiem, a nie kreowanym sztucznie przez administrację Busha. Ten naturalny podział jest wspomagany przez administrację amerykańską pewnymi gestami. Jeśli podział na nową i starą Europę funkcjonuje jako podział naturalny i jeśli ewentualna zmiana administracji po wyborach niekoniecznie musi wywołać rewolucję w amerykańskiej polityce zagranicznej, to oznacza to, że: po pierwsze, Europejczycy muszą pogodzić się z faktem, iż prowadzenie misji przez USA minimalizuje pole manewru dla państw europejskich, dla UE, dla struktury euroatlantyckiej jako takiej. Wydaje się bardzo istotne, aby próbować budować zmianę w świadomości społecznej.

Po drugie, jeśli podział na starą i nową Europę jest podziałem obiektywnie występującym, korzystnym dla USA i lekko stymulowanym przez administrację amerykańską, to warto zastanowić się nad myśleniem w drugą stronę: w jaki sposób wykorzystać, z punktu widzenia interesów narodowych, to zainteresowanie. Sformułowałbym postulat o konieczności tworzenia narodowej polityki wobec USA, tak jak w Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii. Myślę przede wszystkim o artykułowaniu interesów międzynarodowych i państwowych, co sprawiłoby, że Polska nie będzie jedynie adresatem propozycji amerykańskich. Udział w stabilizacji Iraku wydaje się być właśnie tego typu inicjatywą".

Złożony problem percepcji amerykańskiego przywództwa w kontekście m.in. nowych zadań dla instytucji państwa w zmieniającym się środowisku międzynarodowym omówił prof. **Adam D. Rotfeld**, stwierdzając m.in.:

„Kiedy mówimy o USA i przywództwie amerykańskim, polityce amerykańskiej to mamy na myśli bardzo często politykę realizowaną przez tę konkretną ekipę, tę obecną administrację. Trzeba sobie powiedzieć, że stanowisko amerykańskie nie sprowadza się do jednej ekipy, podobnie jak w ogóle polityka każdego państwa. Ona jest wyrażana przez daną administrację, rząd, grupę ludzi. Stany Zjednoczone są na tyle pluralistycznym społeczeństwem, że najciekawsze oceny krytyczne są pub-

likowane w Ameryce, a nie Europie. Powiedziałbym, że to wszystko co wywołało wielką debatę, nie tylko w Europie, ale debatę ogólnoswiatową, to były głównie amerykańskie publikacje, które często oceniały w sposób o wiele bardziej surowy obecną administrację niż ktokolwiek uczynił to w Europie. Ja powiedziałbym, że w Europie panuje w tej mierze nawet pewna powściągliwość. Wiele słów kierowanych pod adresem Polski przez niektórych polityków, np. Chiraca albo przez prasę niemiecką było w istocie rzeczy adresowanych do Stanów Zjednoczonych. Polska stała się jakby elementem przeniesionej agresji, jeśli ktoś chce, albo przeniesionej frustracji i niezadowolenia z tego co się wydarzyło.

Otóż, jeden problem chciałbym podnieść jako najistotniejszy. Mianowicie jesteśmy świadkami kształtowania się nowego systemu, ponieważ powstało nowe środowisko bezpieczeństwa międzynarodowego i w sposób dość istotny, jakościowy, różni się ono od tego co znamy z przeszłości. Na czym polegało to bezpieczeństwo w przeszłości? W największym skrócie: zagrożenia stwarzały państwa, a dzisiaj główne zagrożenia pochodzą nie z agresji jakiejś grupy państw, tylko z rozwoju sytuacji wewnątrz tych państw. I to jest zupełnie jakościowo nowe zjawisko, z którym nie mieliśmy nigdy do czynienia w przeszłości. Niektórzy uważają, m.in. w przeszłości Kissinger, że wracamy do systemu przedwestfalskiego.

Przypomnę, że system określany jako westfalski (po zakończeniu wojen religijnych w Europie), jak gdyby postawił grubą kreskę nad systemem uniwersalistycznym, gdzie kościoły, miasta, czy klasztory były podmiotami stosunków na równi z ówczesnie istniejącymi państwami. Zatem od 1648 roku (Hugo Grocjusz sformułował to potem w formie prawa) mieliśmy bardzo uporządkowany system oparty na stosunkach między państwami. I ten właśnie system załamał się mniej więcej w latach 90., ponieważ pojawiły się zupełnie nowe zagrożenia, z którymi próbujemy sobie radzić. Dlatego że ci, którzy uważają, że nikt nie dał nikomu prawa do interwencji w tym czy w innym kraju, z punktu widzenia klasycznego prawa międzynarodowego mają rację, ale rzecz polega na tym, że polityka bezpieczeństwa nie opiera się na tym czy coś jest zgodne z konwencjami, tylko czy zapewnia się bezpieczeństwo własnym obywatelom i własnemu państwu. To zagrożenie wobec którego Stany Zjednoczone stanęły po 11 września 2001 roku, wymagało ze strony Amerykanów bardzo jasnego i jednoznacznego określenia na czym ma polegać nowa polityka amerykańska. I Amerykanie odpowiedzieli na to w trzy tygodnie, gdy pojawił się raport, który co 4 lata publikuje ministerstwo obrony – *Pentagon*, a w którym powiedziano, że nie wiemy co się może zdarzyć, nie wiemy jakie będą tendencje, możemy tylko reagować na te wydarzenia. Otóż to publiczne i oficjalne zasygnalizowanie, że amerykański Departament Obrony nie wie jakie są zagrożenia i będzie reagował w zależności od sytuacji było punktem wyjścia świadczącym o pewnej bezradności. Nie była to jednak intelektualna bezradność, bo w Ameryce ukazało się w tym czasie bardzo dużo wspaniałych, zdyscyplinowanych intelektualnie prac, których nie sposób byłoby znaleźć w Europie.

Politykę amerykańską określają okoliczności zewnętrzne świata. I te okoliczności zewnętrzne ja bym sprowadził do 4 punktów: Po pierwsze, wyzwaniem są niepaństwowi aktorzy. Są to nie tylko kryminalne siatki terrorystyczne i jakieś ogromne organizacje, ale co ważniejsze, że tego typu działalność na skalę globalną rozwijana jest na terytoriach państw słabych, które nie są w stanie kontrolować rozwoju wypadków na swoim obszarze. Państwo, zgodnie z klasyczną definicją prawa międzynarodowego winno być określone przez trzy kryteria: terytorium, ludność i skutecznie wykonywaną władzę. Otóż w tym przypadku mamy do czynienia z sytuacją, kiedy nie jest do końca zdefiniowane terytorium i ludność, natomiast istnieje pewność, że nie ma skutecznie wykonywanej władzy na terytoriach ogromnej liczby państw na świecie. I te rozmaitego typu globalne struktury kryminalne rozwijają tam właśnie swoją działalność.

Drugim elementem, radykalnie nowym jest to, że mieliśmy do czynienia z bronią masowego rażenia, która kiedyś znajdowała się w ręku bardzo odpowiedzialnych mocarstw, jakkolwiek one były autokratyczne, totalitarne, bardzo niebezpieczne, agresywne, to brały na siebie odpowiedzialność za to czy ta broń będzie użyta czy nie i to w jakimś sensie było przewidywalne. Z chwilą, gdy broń masowego rażenia wymyka się spod tak pojmowanej kontroli i może się dostać w ręce jakichś bardzo

nieodpowiedzialnych grup, to staje się wyzwaniem, które przekracza możliwości naszej wyobraźni, bo nie mamy skutecznych instrumentów do neutralizowania tego typu działalności.

Trzecim elementem jest marginalizacja struktur międzynarodowych. I tutaj powiedziałbym, że pani prof. Kiwerska i pan ambasador Waszczykowski mają rację, że Stany Zjednoczone odnoszą się z coraz mniejszym entuzjazmem do tych struktur i to niezależnie od tego czy jest to ONZ czy NATO, czy jakkolwiek inna organizacja. Nie dzieje się to jednak dlatego, że taka jest specyfika amerykańska. Ja bym powiedział, że żadne wielkie mocarstwo nie odnosi się do struktur międzynarodowych z wielkim szacunkiem, chyba że struktury te są instrumentem realizacji jego strategii. Jeśli ONZ byłaby podporządkowana polityce amerykańskiej, to w polityce amerykańskiego prezydenta byłaby najważniejszą organizacją świata. I w momencie, kiedy jest pewna trudność z wykorzystaniem organizacji do takich celów, to ONZ będzie wykorzystywana tylko tam, gdzie Stanom Zjednoczonym to odpowiada. Struktury międzynarodowe są bardzo pozytywnie postrzegane przez państwa średnie i małe, ponieważ jak słusznie tutaj było powiedziane, spełniają jakby rolę protezy czy wsparcia. Jeżeli my chcielibyśmy jakąś sprawę przeforsować, to nieporównanie łatwiej jest nam to zrobić w ramach ONZ, OBWE czy NATO, niż gdybyśmy mieli to robić na własną rękę w dwustronnych stosunkach z każdym innym państwem.

Mocarstwom o wiele bardziej odpowiada uprawianie polityki dwustronnej, bo wtedy ich potencjał jest przeważający. I tutaj chciałbym zauważyć, że polityka międzynarodowa, a zwłaszcza polityka bezpieczeństwa jest realizowana z uwzględnieniem trzech bardzo istotnych elementów. Po pierwsze, jest to interes narodowy. Po drugie potencjał, czyli interes i siła oraz określony system wartości przyjęty w danym państwie. Otóż potencjał USA jest dzisiaj znacznie większy niż jakiegokolwiek innego państwa. Wiele osób często mówi, że Amerykanie wydają na zbrojenia dzisiaj 450 mld USD. To nieprawda, wydają znacznie mniej, tzn. według niezależnych analiz Kongresu, wydatki amerykańskie w tym roku wynoszą 374 mld. Można powiedzieć, że między 374 mld a 450 mld jest niewielka różnica, ale istotne jest to, że wzrost wydatków na zbrojenia w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych był większy niż cały budżet militarny Wielkiej Brytanii, który jest z kolei największym budżetem wojskowym w Europie. To daje wyobrażenie o tym, że USA mają przytłaczającą przewagę, jeśli chodzi o wydatki zbrojeniowe świata i to w jakimś sensie jest symbolem ich potęgi w skali globalnej. Otóż w tym tkwi pewne niebezpieczeństwo – Amerykanie mają poczucie, że są wszechpotężni.

Jednak wzięci amerykańscy analitycy (Kissinger, Brzeziński, Joseph Knight), uważają, że nawet najpotężniejsze mocarstwo potrzebuje sojuszników. I ponieważ mamy w tytule naszego spotkania przywództwo amerykańskie, to w swej ostatniej książce Kissinger (*Czy Ameryka potrzebuje...*) w ostatnim akapicie stwierdza, że świat bardzo potrzebuje amerykańskiego przywództwa, ale pod warunkiem, że będzie to przywództwo przyjęte dobrowolnie, ponieważ polityka amerykańska musi być na tyle atrakcyjna, a system wartości, który Amerykanie reprezentują na tyle przyciągać sojuszników, że ci sojusznicy w sposób naturalny będą optować na rzecz tego przywództwa. Stany Zjednoczone nie podzielają opinii, że UE może stworzyć swoje własne struktury obronne i system dowodzenia. Uważają to za zbędne dublowanie, osłabianie NATO, a ponadto jeśli UE chce podejmować w tej sprawie jakiegokolwiek działanie, chce korzystać z zasobów Paktu to musi to w ramach NATO wcześniej skonsultować i że tak powiem uzyskać zgodę. Spór, który podzielił USA i Europę, tzn. niektóre państwa Europy, bo trzeba sobie powiedzieć szczerze, że my tak często mówimy – Europa a Stany Zjednoczone, ale faktem jest, że Wielka Brytania, Hiszpania, Włochy, a w znacznej mierze Holandia, Dania, Polska i mógłbym wymieniać długą listę innych państw, zajęły w tej sprawie inne stanowisko. To nie jest tak, że wszyscy poparli Francję i Niemcy, jakkolwiek prawdą jest, w moim przekonaniu, że my powinniśmy do Francji i Niemiec odnosić się inaczej, niż odnosimy się do Danii czy Holandii, z tego względu, że bez Francji i Niemiec nie byłoby UE, nie byłoby integracji europejskiej. W związku z tym trzeba z ogromną powagą, a powiedziałbym nawet również z pokorą wysłuchiwać różnych opinii, a zwłaszcza naszych poważnych partnerów na kontynencie europejskim. W kontekście przywództwa chcę przypomnieć, że kiedy nasz prezydent pojechał do USA i 13 stycznia 2003 roku wygłosił w *National Defense University*

wykład, to powiedział w nim, że Polska akceptuje amerykańskie przywództwo, ale nie w sposób niekwalifikowany, akceptujemy to przywództwo przy założeniu, że Stany Zjednoczone będą wśluchiwać się w to jakie my mamy poglądy i będą się kierować wspólnie uzgodnionymi regułami, a jeżeli tego nie będą robić, to my to nazywamy dominacją lub hegemonią. Niewielu jest polityków, którzy by wobec amerykańskiego *establishmentu* mieli odwagę powiedzieć coś takiego. Mógł sobie na to pozwolić prezydent Aleksander Kwaśniewski dlatego, że stosunki polsko-amerykańskie są rzeczywiście bardzo dobre. To pozwala Polsce wyrażać w niektórych sprawach, które nie mają charakteru fundamentalnego, ale które dotyczą naszego interesu narodowego, swoje własne, suwerenne stanowisko i Amerykanie odnoszą się do tego ze zrozumieniem i respektem.

Uważam, że Europa powinna wobec Stanów Zjednoczonych uprawiać politykę podobną do tej, którą uprawia Tony Blair. Wpłynął on na politykę amerykańską w znacznie większej mierze niż jakikolwiek inny polityk europejski, zwłaszcza w odniesieniu do traktowania ONZ. Gdyby to nie była wspólna brytyjsko-amerykańska rezolucja, do której potem przyłączyła się Hiszpania, to prawdopodobnie sytuacja wyglądałaby o wiele gorzej z naszego punktu widzenia. To nie jest jedyny przykład, ja bym powiedział, że gdyby Europa zajęła wspólne stanowisko, takie jakie zajmował Blair przed interwencją w Iraku, to prawdopodobnie rozwój wypadków mógłby się też inaczej potoczyć. Zmierzam do tego, że Europa nie powinna budować swojego bezpieczeństwa w opozycji do Stanów Zjednoczonych, tylko traktować USA jako integralną część europejskiego systemu bezpieczeństwa.

Otóż z punktu widzenia politycznego, wojskowego i ekonomicznego Stany Zjednoczone są najpotężniejszym 'europejskim' mocarstwem. Problem polega na tym, że Stany Zjednoczone nie są i nie będą członkiem UE. Głównym wyzwaniem dla Ameryki jest to, że powstaje nowa jakość w Europie i Amerykanie próbują tę Unię jak gdyby 'obciosać' w taki sposób, żeby ona była partnerem, który jest dla Amerykanów do zaakceptowania. Wchodzą tu w rachubę głównie elementy wojskowe i dotyczące decyzji w sprawach bezpieczeństwa. Wielkim wyzwaniem dla USA jest fakt, że operacja która się nazywała *EURO* i o której wielu sądziło, że się nie uda, powiodła się. I powiem więcej, że powiodła się w takim stopniu, że zaczyna Europie szkodzić. Dlatego że ta wspólna waluta *EURO* daje Stanom Zjednoczonym możliwość obniżenia wartości dolara do tego stopnia, że Europa już opłaciła koszty operacji w Iraku. My sobie nawet nie uświadamiamy tego, że w ciągu ostatnich kilku tygodni zmiana relacji *EURO* – dolar: nadmierna wartość *EURO* i zaniżona wartość dolara przynosi Amerykanom jednoznaczny zysk”.

Podczas ożywionej dyskusji, w której udział wzięli pozostali uczestnicy konferencji zwracano m.in. uwagę na bilans kosztów i strat związanych z jednej strony z przystępowania do UE i korzystania ze środków pomocowych, a z drugiej zaangażowania polskich firm w odbudowę Iraku (prof. Andrzej Sakson). Prof. **Jerzy Holzer** dodał do dyskusji wątek dotyczący roli Francji i współpracy francusko-niemieckiej. Stwierdził m.in., że:

„(...) mamy do czynienia nie tylko ze zmianą, ale także z bardzo poważnymi elementami kontynuacji. Jeśli spojrzymy na fazę zimnej wojny, to oczywiście Stany Zjednoczone były hegemonem niekomunistycznej części świata, ale to znaczyło również, że były hegemonem wewnątrz Europy. Bo to wewnątrz Europy przechodził podział pomiędzy światem komunistycznym i niekomunistycznym. Jeżeli chodzi o Francję, to właściwie mieliśmy bardzo wcześnie do czynienia z dążeniem do tego, żeby ograniczyć rolę USA w Europie i zmarginalizować Wielką Brytanię. Bardzo wyraźne były przecież dążenia do niedopuszczenia tego kraju do Wspólnoty Europejskiej, a w każdym razie marginalizowania jego roli i zaproponowania alternatywy Niemcom. Na to składały się najrozmaitsze działania z traktatem

elizejskim włącznie. Niemcy nie do końca mogły się na tę alternatywną propozycję Francji zgodzić, bo były podzielone i stanowiły w jakimś sensie państwo frontowe.

Tu, na marginesie, oponowałbym przeciwko przeciwstawianiu polityki siły, czy używania środków militarnych przez Stany Zjednoczone łagodności, czy kompromisowości krajów europejskich. Po prostu niektóre kraje europejskie bardzo się sparzyły na używaniu tych środków, a po 1945 roku takim krajem przede wszystkim była Francja. To ona prowadziła wojnę wietnamską, wojnę algierską, brała udział w sprawie sueskiej w 1956 roku, interweniowała w Czadzie, usiłowała interweniować w innych krajach afrykańskich. Czyli był to kompromis wymuszony. No i teraz nastąpiła kolejna faza po zimnej wojnie. Jeżeli mówimy o poczuciu misji amerykańskiej, to trzeba powiedzieć o poczuciu misji francuskiej, a teraz w pewnej mierze także francusko-niemieckiej misji europejskiej. Te akcenty są coraz silniejsze, były zresztą one może i przed rokiem 1989 (jest pewna kontynuacja jeśli chodzi o Francję), ale są coraz silniejsze i powiedziałbym, że mogą równie, jak akcentowanie misji amerykańskiej, budzić refleksje nad dalszym jej kształtem.

Zmianą jest zanik racji dla wewnętrznej hegemonii USA w Europie. To Europa, po wyciszeniu w kwestii byłej Jugosławii, jest w zasadzie kontynentem spokojnym. I nie istnieją w niej racje dla wewnętrznej hegemonii. Ale jest i pozostaje problem hegemonii amerykańskiej w skali światowej i roli Europy w tym kontekście. Kontynuowane jest dążenie Francji do kondominium europejskiego z Niemcami i realizowania w ten sposób swojej przewagi, także dążenie do zmarginalizowania Wielkiej Brytanii jako swoistego rodzaju przyczółku Stanów Zjednoczonych w Europie. Istotna zmiana nastąpiła w Niemczech, które po zjednoczeniu i zdobyciu zupełnie nowej pozycji międzynarodowej, wyraźnie skłaniały się do przyjęcia francuskiej propozycji (kondominium), niż do utrzymywania pozycji pierwszego partnera Stanów Zjednoczonych.

I wreszcie kwestia zagrożeń. Uważać za nie należy terroryzm, a przede wszystkim terroryzm islamski. Można powiedzieć, że to zagrożenie ujawniło się w Europie w gruncie rzeczy dużo wcześniej niż w Ameryce (zamachy we Francji, w Niemczech, porywania samolotów, zamachy na turystów europejskich w Egipcie, mordowanie Francuzów w Algierii). Można sobie zadawać pytanie, czy w jakiejś mierze polityka wyraźnie wychodząca naprzeciwko interesom krajów arabskich i jednocześnie akcenty antyamerykańskie, nie są próbą oddalenia od Europy groźby terroryzmu islamskiego. W takim przypadku to USA, a nie Europa stają się celem. Zaczyna dominować hasło: niech na całym świecie wojna, byle Europa spokojna. Pojawia się pytanie, jak długo taką sytuację uda się utrzymać zwłaszcza, że istnieją na obszarze Europy bardzo silne środowiska terrorogenne”.

Swoje uwagi zgłosił także dr **Janusz Onyszkiewicz**, mówiąc m.in.:

„(...) chciałbym się podzielić swoim niepokojem, co do nowej inicjatywy amerykańskiej, jeśli chodzi o kontrolę rozprzestrzeniania środków masowego przekazu. Z tego, co można było wnosić z przemówienia prezydenta Busha, chodziłoby tutaj o kontrolę na szlakach powietrznych i morskich. Pytanie, jak to się ma odnosić do zasady wolności żeglugi i wolności mórz. Myślę, że tu może się pojawić kolejny problem, z którym będzie się trudno uporać, a mianowicie kwestia do jakiego stopnia Stany Zjednoczone chcą tę inicjatywę realizować w ramach instytucji międzynarodowych, a do jakiego stopnia chcą skorzystać z mandatu znacznie węższego, żeby nie powiedzieć po prostu na zasadzie koalicji chętnych.

Druga uwaga jest następująca, mianowicie wydaje mi się, że w sprawie Iraku USA i Francja (Saddam Husajn swoją drogą), popełniły dwa dosyć istotne błędy w ocenie. Amerykanom wydawało się, że jeżeli pokażą bardzo silne przywództwo i pewną determinację w przeprowadzeniu tej całej akcji, to inne kraje do nich dołączą. Opierano się na doświadczeniach kryzysu kubańskiego, czy pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Błąd Francji polegał na tym, że założyła, iż USA nie odważą się na działania jednostronne bez jednoznacznego mandatu ONZ i że w związku z tym Francja, blokując ewentualny mandat, może podnieść swój status międzynarodowy i umocnić swoją pozycję wśród krajów arabskich. Widziałem bardzo wiele komentarzy mówiących, że o ile w pierwszym etapie Francja bardzo dużo

zyskała, to ostateczny efekt jest dla niej fatalny. Okazało się, że bez Francji też można rozmaite rzeczy przeprowadzić.

Trzecia uwaga, którą chciałbym tutaj wypowiedzieć, jest następująca, mianowicie myślę, że trzeba bardzo zabiegać o to, żeby rozstrzygnąć w końcu ciągle pojawiający się dylemat czym ma być Europa wobec Stanów Zjednoczonych. Czy ma być rywalem, czy ma być po prostu partnerem (ale równym i szanowanym). Jeżeli tego rodzaju rozstrzygnięcia nie będzie albo będzie poczucie, że tego rodzaju rozstrzygnięcia nie ma, to obawiam się, że w USA będą w dalszym ciągu pokutować obawy przed Europą jako potencjalnym rywalem. W związku z tym będzie prowadzona gra obliczona na podziały w Europie, a więc odejście od tej przynajmniej formalnej polityki, która przecież popierała zjednoczenie Europy.

I wreszcie ostatnia uwaga dotycząca działań wyprzedzających. Jak sobie przypominam strategię amerykańską, to tam właściwie *explicite* są wymienione tylko jedne okoliczności, w których tego rodzaju działania uważane są za całkowicie uprawnione, a nawet konieczne, mianowicie w ramach wojny z terroryzmem”.

Następnie głos w dyskusji zabrał prof. **Stanisław Parzymies**, zwracając szczególnie uwagę na różnice między europejskim i amerykańskim podejściem do polityki międzynarodowej, powiedział m.in.:

„(...) zaliczyłbym do nich poszukiwanie przez Europę innych środków oddziaływania międzynarodowego niż te, którymi operują Stany Zjednoczone. Europa bardziej skłonna jest sięgać do dyplomacji, do perswazji, do pomocy jako sposobów oddziaływania na środowisko międzynarodowe, niż do tych środków, do jakich sięgają Amerykanie. Wynika to, w moim przekonaniu, z dwóch względów. Po pierwsze, Europa chce być samodzielnym podmiotem stosunków międzynarodowych. Może partnerskim, ale również konkurencyjnym wobec USA. To wyraźnie widać w wielu wypowiedziach polityków europejskich, nawet umiarkowanych. Po drugie, rzeczywiście brak jej takich środków wojskowych, jakimi dysponują USA, żeby mogła podobną politykę prowadzić. I wreszcie inny powód, dla którego moim zdaniem istnieją te różnice, to jest kontestowanie Stanów Zjednoczonych przez niektóre państwa zachodnioeuropejskie, zwłaszcza Francję, ale nawet Niemcy, co pozwala im po prostu zaistnieć jako ważne podmioty w stosunkach międzynarodowych. W przypadku Francji jest to sprawdzony sposób działania od czasów de Gaulle’a. Ta polityka, chociażby w sprawie Iraku, w pierwszym etapie odniosła określony sukces. Francja potrzebuje tego sukcesu z tego względu, że po prostu marzy się jej przywództwo w UE i nie kryje tego. Musi ono być jednak podbudowane określonym prestiżem międzynarodowym.

Jednocześnie chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że poza kilkoma przypadkami po II wojnie światowej w historii stosunków francusko-amerykańskich, jak powiedzmy kryzys sueski, jak amerykańska wojna w Wietnamie, jak ostatnia wojna w Iraku, Francja zawsze w sytuacjach kryzysowych stała u boku USA. Może to było połączone z próbami wynegocjowania czegoś. Niemniej jednak i kryzys koreański, kryzys kubański, dwa kryzysy berlińskie, Kosowo, to były przypadki kiedy Francja zawsze popierała USA. Świadczy to o tym, że istnieje niewątpliwy system wartości i tego typu kryzysy nie są w stanie doprowadzić do jakiegoś zdecydowanego zerwania.

Zwróćmy uwagę, że żadne mocarstwo europejskie, łącznie z Francją, nie kwestionuje amerykańskiego parasola jądrowego. Francuzi mówią, że *NATO* skazane jest na śmierć, nie jest potrzebne, *NATO* – jako struktura wojskowa. Ale sam sojusz z Amerykańską gwarancją jądrową jest im potrzebny i w dalszym ciągu uważają, że jest dla nich rzeczą wartościową. Wszystkie kontrowersje, które istnieją między Stanami Zjednoczonymi i Europą, a zwłaszcza niektórymi państwami europejskimi, właśnie tymi, z którymi jesteśmy w Trójkącie Weimarskim, stwarzają niezwykle trudną sytuację dla Polski jako przyszłego członka UE. Po prostu zmusza to nas do lawirowania, do poszukiwania właściwego rozwiązania, czy właściwej pozycji, żeby nikogo nie urazić. Widać jakie są różnice pomiędzy nami, Francją i Niemcami. Różnice, które wydaje mi się w najbliższym czasie trudno będzie przeskoczyć, bo one dotyczą również sposobu głosowania, dotyczą właśnie wspólnej polityki obronnej i bezpieczeństwa.

Wydaje mi się, że jedynym sposobem dla nas jest poszukiwanie sojuszników poza tymi dwoma państwami, a poza tym próba budowy europejskiej współpracy w dziedzinie obronności i w dziedzinie bezpieczeństwa opartej na bardzo szerokim wspólnym mianowniku, bo tylko w takiej sytuacji będziemy mogli tych sojuszników znaleźć”.

Uwagi natury ontologicznej zgłosił prof. **Zdzisław Najder**, mówiąc m.in:

„(...) po 11 września cały świat zachodni poparł Stany Zjednoczone w jakimś wielkim emocjonalnym i politycznym odruchu. Ten odruch był oparty na przeświadczeniu, że my wiemy jak to jest, jak giną niewinni ludzie, jak spada nieszczęście na społeczeństwo, na naród. Jednak reakcja amerykańska była inna. Mianowicie Amerykanie zareagowali w taki sposób: czegoś takiego świat jeszcze nie widział, to co się stało było inne, niż wszelkie inne nieszczęścia, które spadły na inne narody. To było trochę powtórzenie dyskusji, którą toczą Żydzi na temat zagłady, czy to było jedyne wydarzenie tego typu w dziejach świata, czy też były i inne. Hannah Arendt mówiła, że to uwyjątkowanie zagłady, *Holocaustu* przynosi często Żydom nieszczęścia dodatkowe. Dlatego że sami stawiają się na marginesie ludzkiej społeczności, mówią, że są inni niż całą reszta świata. I tutaj widzę coś podobnego. Oni uważają, że jak toczyły się wojny w Europie, to była rzecz normalna, natomiast zaatakowanie Nowego Jorku i Waszyngtonu to była rzecz nadnormalna. Tego absolutnie nie można tolerować i na to trzeba reagować inaczej niż reagowano na inne nieszczęścia. To jest trudne do zwerbalizowania, ale dosyć łatwe do zaobserwowania, dosyć łatwe do wycucia i wykrycia w rozmowach z Amerykanami. Myślę, że to utrudnia nam często na takim głębokim emocjonalnym, nieintelektualnym poziomie porozumienie się.

Druga, pomniejsza uwaga: pan minister Rotfeld powiedział i słusznie, że mocarstwa nie lubią struktur międzynarodowych. To prawda. Myśmy UE budowali na tej właśnie zasadzie, żeby mocarstwa polubiły struktury międzynarodowe, żeby Niemcy i Francja, i Wielka Brytania pogodziły się z tym, że ważniejsze jest prawo wspólnotowe niż ich interesy. Więc tutaj znowu następuje rozejście się. Stany Zjednoczone po 11 września powróciły do zasad nadpolityki, a myśmy w Europie od lat 50. i 60. usiłowali od tych zasad odejść. I w tym przypadku ponownie następuje zderzenie”.

W kwestii przywództwa amerykańskiego w Europie, wprowadzając zarazem do dyskusji wątek niemiecki, głos zabrała prof. **Anna Wolff-Powęska**:

„Zgadzam się z tymi wszystkimi panelistami, którzy twierdzili, że zamach 11 września nie zmienił radykalnie sytuacji. W zasadzie uwypuklił pewne różnice, które oczywiście istniały wcześniej. Dla Niemiec, ale również państw wschodnioeuropejskich, które stały się na początku lat 90. bardziej wolne i suwerenne, powstał problem podejmowania decyzji. Pamiętamy, że ‘wysunięcie się Niemiec przed szereg’ w 1991 roku, kiedy uznały suwerenność Chorwacji i Słowenii naraziło na wiele krytycznych uwag, nie tylko w Europie. Powstał dylemat, który właściwie trwa przez całe lata 90., co Niemcy nazywają wyborem między *Machtbesessenheit...* i *Machtvergessenheit...* Jedni oczekują od nich więcej odpowiedzialności, ale kiedy demonstrują tą odpowiedzialność oczywiście narażają się na krytykę. Podobnie jest ze stosunkiem Europy do Stanów Zjednoczonych. Akcentujemy własną tożsamość, ale jednocześnie podkreślamy, że potrzebujemy USA.

Pan profesor Parzymies słusznie zwraca uwagę na zachowania, na pewne odreagowanie Francji i Niemiec. Miałabym jednak zastrzeżenia co do tego, czy w przypadku Niemiec to rzeczywiście takie, a nie inne zachowanie było wolą przede wszystkim zaistnienia na arenie międzynarodowej, pokazania swojej siły. Myślę, że trochę to chyba przeceniamy, że powód był bardziej prozaiczny. Był to element przede wszystkim kampanii wyborczej kanclerza Schrödera. Przecież do 1990 roku ta spójność w polityce zagranicznej Niemiec między opozycją a rządem była widoczna. Dzisiaj to się zmienia. Ja chciałabym tylko zwrócić uwagę na najnowsze badania opinii publicznej, dość zaskakujące, gdzie bardzo wyraźnie widać różnicę w mentalności Niemców wschodnich i Niemców zachodnich. Na pytanie z jakim krajem wiążą swoje poczucie i przyszłe bezpieczeństwo, czy z Francją czy z USA, niemal 30% Niemców

zachodnich, a tylko 8% Niemców wschodnich opowiedziało się za Stanami Zjednoczonymi. Prawie 59% Niemców głównie wschodnich uważa i wiąże swoje poczucie bezpieczeństwa z Francją. A więc to są znaczne różnice i godne tutaj zastanowienia. Mam wątpliwości czy jest to strategiczna koncepcja, czy jest to tylko element opozycji i pewnej demagogii.

I jeszcze jedna uwaga. Czy istnieje nadal Zachód jako wspólnota wartości? Mówimy ciągle, że bronimy wartości, wartości europejskich. Jak w świetle tego, że jednak my Europejczycy oczekujemy pewnych reguł w prawie międzynarodowym, pogodzić obronę wartości zachodnich z tą szczególną amerykańską drogą prewencyjnej samoobrony”.

Swoje refleksje nawiązujące do wypowiedzi prof. Rotfelda zgłosił prof. **Andrzej Mania**:

„(...) często przykładamy miarę z innej epoki do rzeczywistości, którą analizujemy i to jest błąd. Otóż ja widzę, że wielu ludzi zajmujących się tematyką amerykańską popełnia ten błąd, nie uświadamiając chyba sobie do końca skali zmiany jaka nastąpiła w amerykańskim myśleniu. Europa nie jest obiektem szczególnej troski i zainteresowania w kształceniu dyplomatów amerykańskich w strukturze Departamentu Stanu, w strukturze biura analitycznego Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Amerykańskie akcenty wyraźnie się przesunęły. Czas priorytetów europejskich minął, w wielu dziedzinach powinniśmy sobie tutaj w Europie z tego zdać sprawę. A więc my musimy ten fakt przyjąć do wiadomości, że Amerykanie odpowiedzieli samym sobie na dylemat, przed którym stanęli, jak ma wyglądać przywództwo, że uszeregowali niejako porządek spraw, w którym Europa, w moim przekonaniu, nie jest na czele.

Ponadto trzeba powiedzieć, że Amerykanie są właśnie w okresie dramatycznej zmiany myślenia o powinnościach państwa na arenie międzynarodowej i także w zakresie obrony demokracji. Jest to moment dyskusji nad tym, jak to społeczeństwo nadal ma funkcjonować, albowiem nagle okazało się, że pewne nawyki społeczne i sposób funkcjonowania ułatwiły atak od wewnątrz na USA”.

W drugim panelu pt. „**Dylematy polskiej polityki bezpieczeństwa**” przedmiotem rozważań była sytuacja Polski, a zwłaszcza oddziaływanie aktualnych wyzwań, jakie wynikają z rozbieżnych stanowisk głównych partnerów na arenie międzynarodowej wobec takich problemów, jak sprawa Iraku, czy przyszłość *NATO*. Dyskutowano nad tym, w jakim stopniu relacje transatlantyckie mogą decydować o jakości partnerstwa Polski i Niemiec i ich współpracy w ramach UE? I w jakiej mierze Polska powinna konsultować swe poczynania i mówić jednym głosem z eksponentami tzw. „starej” Europy oraz czego Polska winna oczekiwać od swych partnerów z UE i od USA?

Panelowi przewodniczył dr Piotr Świtalski – dyrektor Departamentu Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej MSZ, a zaproszeni zostali do niego dr Janusz Onyszkiewicz, Centrum Stosunków Międzynarodowych, prof. Zdzisław Najder, Instytut Spraw Publicznych i prof. Bogdan Koszel, Instytut Zachodni. P. Świtalski w swoim wystąpieniu zwrócił uwagę m.in. na amerykańską koncepcję dysagregacji, polegającą na zróżnicowaniu podejścia do poszczególnych państw europejskich.

Jako pierwszy głos zabrał dr **Janusz Onyszkiewicz**, który rozwinął kilka istotnych wątków:

„Jeśli chodzi o zagrożenia, nazwijmy je miękkie, to oczywiście poza naszymi środkami, którymi dysponujemy w skali narodowej, wydaje się, że nasze wejście do UE w bardzo gruntowny sposób podwyższy nasze, wobec tych właśnie zagrożeń bezpieczeństwo. I na dobrą sprawę chyba nie ma lepszego środowiska, w którym tego rodzaju zagrożenia mogą być zmniejszane czy nawet eliminowane.

Ale pozostają jeszcze tzw. twarde zagrożenia, które co prawda dzisiaj nie wyglądają realistycznie, bo nie wydaje się, żeby naprawdę wisiała nad nami groza bezpośredniej agresji, ale których wykluczyć w dalszej przyszłości nie można. Nie można wykluczyć chociażby z tego względu, że nikt dosłownie, poza może najbardziej skrajnymi optymistami nie może być pewny w jakim kierunku będzie się rozwijać np. sytuacja w Rosji, nie mówiąc już generalnie o sytuacji na Wschodzie. Skoro sami bardzo liczni politycy rosyjscy obawiają się dryfu Rosji w stronę autorytaryzmu, który może potem łatwo sięgnąć do ideologii neoimperialnej, to tym bardziej tego rodzaju ewentualność my musimy brać pod uwagę. A politykę bezpieczeństwa buduje się nie na najbardziej prawdopodobnym scenariuszu, ale na podstawie scenariusza najgorszego, choć ciągle jeszcze w jakimś sensie realistycznego.

Jeżeli natomiast mówimy o tych twardych gwarancjach bezpieczeństwa, to oczywiście powstaje pytanie, jak sobie je mamy zapewniać i w jakich strukturach szukać ewentualnie wsparcia. Pierwsza uwaga, którą trzeba tutaj w związku z tym wypowiedzieć jest następująca: UE tego rodzaju twardych gwarancji bezpieczeństwa nie daje z wielu powodów. Jednym z nich jest ten, że próba włączenia całego dorobku Unii Zachodnioeuropejskiej, a więc wojskowego sojuszu głównych krajów Europy Zachodniej do dorobku UE nie powiodła się. Jedną z przyczyn był fakt, że to by zmieniało UE w sojusz wojskowy. Jednym z fundamentów tego traktatu, który konstytuował Unię Zachodnioeuropejską był, tak się akurat złożyło, również artykuł 5 Traktatu brukselskiego, w którym to artykule były zawarte gwarancje bezpieczeństwa na wypadek agresji. Dlaczego Unia nie mogła, przynajmniej na razie, przyjąć tego rodzaju elementu? Powód jest jasny, a mianowicie w Unii są kraje, które chociaż już się formalnie krajami neutralnymi nie nazywają, to jednak są państwami pozablokowymi. Należą do nich Szwecja, Finlandia, Austria i Irlandia. Dla nich możliwość wejścia w jakiś sojusz wojskowy jest, przynajmniej obecnie i chyba w dającej się przewidzieć bliższej przyszłości, nie do przyjęcia. W związku z tym UE w sposób bardzo świadomy po prostu tego rodzaju gwarancji nie daje, a problemy bezpieczeństwa rozwiązuje, mówiąc bardzo skrótowo, w ten sposób, że zapewnia, iż jeżeli nastąpi agresja na kraj członkowski, to oczywiście jakaś solidarność europejska na pewno będzie UE zobowiązywać do jakiegoś działania, ale tak na dobrą sprawę, to jeżeli to jest agresja na kraj neutralny, to trudno – sam ten kraj jest sobie winien, bo sobie sam taki status wybrał. A jeżeli jest to jakiś kraj natowski, to zajmuje się tym NATO. Wobec tego sprawa jest niejako zepchnięta na Pakt Północnoatlantycki, a w czasie odepchnięcia w bliżej nieokreślonej przyszłości.

UE oczywiście jakby przyjmuje to, że budując swoją tożsamość polityczną, także jest gotowa budować obronną, a w każdym razie szykuje się do tego, żeby móc prowadzić pewne typy misji wojskowych. Ale są to misje, które nie mają być jakby reakcją na bezpośrednią agresję, a mają być tylko misjami bądź utrzymywania pokoju, bądź misjami humanitarnymi, bądź też operacjami wymuszania pokoju, chociaż jak daleko to wymuszanie może pójść, sprawa jest dalece niejasna. I prawdopodobnie, gdyby próbować to zdefiniować, to w UE wystąpiłyby ogromne różnice zdań. W związku z tym jesteśmy w sytuacji takiej, że tak naprawdę gwarancje bezpieczeństwa mamy w gruncie rzeczy wyłącznie w ramach naszego członkostwa w NATO. Tyle tylko, że te gwarancje bezpieczeństwa po 11 września trochę zaczęły wyglądać inaczej. Dlatego że przez kilkadziesiąt powojennych lat NATO zdołało wytworzyć takie przekonanie – i to zresztą było niesłychanie ważne i dobre – że jeżeli następuje atak na kraj członkowski (NATO uznaje jakiś atak za dostateczne znamiona agresji i przywołuje gwarancje bezpieczeństwa), to tym samym odpowiedzialność za odpowiedź na ten atak przejmuje cały sojusz i rozpoczyna odpowiednie działania. Tak jak wiadomo nie stało się. Chociaż NATO przywołało artykuł 5 i określiło atak na WTC jako agresję, to właściwie pozostało bierne. Stany Zjednoczone postanowiły więc sprawę rozstrzygnąć, co prawda w koalicji z innymi, ale przede wszystkim poza strukturami NATO. Jednak nie tylko chodzi o to, że NATO nie zafunkcjonowało jako sojusz w odpowiedzi na ten atak. Stało się jeszcze coś gorszego. Mianowicie przypomniano, iż artykuł 5, tak jak jest sformułowany, właściwie nie przesądza automatycznie zaangażowania sojuszników w wypadku agresji. Artykuł ten, jeśli go uważnie przeczytać, powiada po prostu tyle, że każdy kraj oczywiście solidarnie będzie wspierał kraj zaatakowany, ale będzie go wspierał w sposób jaki sam uzna za stosowny, a więc pozostawiający każdemu krajowi ogromne pole do własnych decyzji. I żeby przypieczętować niejako tę całą wątpliwość

np. premier Kanady, kiedy obwieszczał o wysłaniu do Afganistanu jednostki bojowej (miała tam działać w ramach realizacji gwarancji sojuszniczych) zapowiedział, że jak tylko będzie jakieś strzelanie, to on tę jednostkę wycofa.

Pojawiło się zatem pytanie jaka jest wartość tych gwarancji bezpieczeństwa. Żeby sytuację jeszcze pogorszyć to w *NATO*, w ramach Traktatu waszyngtońskiego istniała jeszcze inna gwarancja, a mianowicie gwarancja konsultacji, której każdy kraj uważający, że jest zagrożony może zażądać i otrzymać od swoich sojuszników. Otóż z tego rodzaju potrzebą wystąpiła Turcja, obawiająca się, że jej obszar może zostać naruszony przez Irak w wypadku, kiedy konflikt się rozpocznie na tym terenie. I tu pojawiły się pewne kłopoty, które co prawda zostały przewyżczone, ale osad pozostał. Co z tego wynika? Otóż wynika z tego po prostu to, że skoro natowskie gwarancje bezpieczeństwa nie są takie automatyczne, pewne, stuprocentowe, to, jak my jako kraj brzegowy w sojuszu mamy się do tego odnieść. I tu wracam do pewnych sformułowań, pewnych koncepcji zawartych, co prawda nie w strategii bezpieczeństwa narodowego, ale w strategii obronnej, a więc w dokumencie, który też został przyjęty w roku 2000. Zawiera on pewne sformułowania, które jak sądzę zachowują swoją aktualność. Pada w nim stwierdzenie, że Polska w wypadku agresji będzie działać w układzie sojuszniczym. Ale tam też jakby zostały zakreślone pewne możliwe scenariusze takiej agresji.

Otóż w tamtej ocenie i myślę, że jest to ocena w dalszym ciągu ważna i aktualna, konflikt, agresja na wielką skalę jest co prawda bardzo groźnym niebezpieczeństwem, ale o tyle łatwiejszym, że nie może się ono pojawić nagle – musi narastać. Okres wyprzedzenia będzie na tyle długi, że możliwe stanie się zmobilizowanie poparcia politycznego, a także odpowiednie wyprzedzające działania wojskowe ze strony naszych sojuszników (np. na terytorium Polski mogłyby zostać rozlokowane jeszcze przed ewentualnym wybuchem konfliktu, czy aktem agresji, jakieś jednostki sojusznicze). Najgorsza sytuacja powstaje, kiedy konflikt nie jest na wielką skalę, a na mniejszą, ale nie na tyle małą żeby można sobie z nim poradzić przy pomocy batalionu czy dwóch.

W sytuacji, kiedy Sojusz musi mieć czas na to, żeby ewentualnie pospieszyć Polsce z pomocą, kraj nasz musiałby się z tą agresją zmierzyć samodzielnie. Jak długi byłby okres wyczekiwania na tą pomoc, to już jest kwestia planowania wojskowego, pewnych możliwości, ale na pewno nie byłaby to kwestia godzin. W godzinach możemy uzyskać pomoc w powietrzu. W ciągu jednego, dwóch dni moglibyśmy uzyskać pomoc na morzu. Natomiast, jeśli chodzi o pomoc w postaci większych jednostek lądowych ten czas byłby znacznie dłuższy. I tu właśnie dochodzimy do tego pytania, które stawiał pan ambasador Waszczykowski – po co Polsce F-16? Otóż właśnie tak to jest, że każdy konflikt rozpoczyna się od ataku z powietrza. Czasami się zresztą na tym ataku kończy, bo przecież tak robili wielokrotnie Izraelczycy, tak robiły Stany Zjednoczone wobec Kadafiego i Iraku przed rozpoczęciem działań wojennych. I taki atak, jeżeli nastąpi, to zanim uruchomiony zostanie nie tylko system reagowania, ale zanim nadlecą samoloty bazujące gdzieś w Niemczech, w Danii, w Wielkiej Brytanii, to już będzie po wszystkim. Wobec tego niestety, Polska to nie są Czechy i polskiego nieba powinny pilnować samoloty, które stacjonują blisko ewentualnego rejonu starcia, a więc w naszych granicach. A innych samolotów w Polsce jak na razie, poza polskimi, nie ma i nie wydaje się, żeby jeśli chodzi o samoloty bojowe, inne samoloty się w Polsce pojawiły. To także zresztą jest pewnym elementem naszej odpowiedzi na takie dwa postulaty, które się czasem pojawiają, mianowicie specjalizacji narodowej i jednostek wielonarodowych. Tu jest właśnie kwestia wyważenia tych dwóch potrzeb: potrzeby obrony własnego terytorium, a także autentycznej potrzeby dysponowania wojskami ekspedycyjnymi, po to żebyśmy mogli w sposób partnerski nie tylko nieść pomoc innym na wypadek, gdyby oni byli przedmiotem ataku, ale żebyśmy mogli także uczestniczyć w misjach, o których *NATO* zdecydowało, a które będą misjami innego charakteru, niż wynikające z artykułu 5.

I na koniec. Pojawia się problem pomiędzy UE i *NATO*, czyli pomiędzy polityką bezpieczeństwa i obrony Unii i tym co się w *NATO* nazywa europejską tożsamością. Problem jest o tyle trudny, że gdyby istotnie właśnie ta grupa czterech krajów rozpoczęła budowanie struktur dowódczych, to pomijając kwestię, że te struktury prawdopodobnie nie zmieściłyby się w żaden sposób w konstrukcji europejskiej, która nie przewiduje, jak na razie, wzmocnionej współpracy w obszarze obrony i w obszarze wojska,

wobec czego byłoby to jakby poza UE, pojawia się też problem, jak zgrać struktury dowódcze NATO z UE. Potrzeba zgrania jest oczywiście wieloraka. Po pierwsze wojska, którymi dysponuje Europa mogą być użyte raz pod auspicjami NATO, a innym razem pod auspicjami UE, ale to są w gruncie rzeczy te same jednostki. Wobec tego, jeżeli planuje się ich użycie, to te plany muszą być zharmonizowane. Nie może być tak, że NATO zaplanuje sobie jedno, a UE drugie i potem się to wszystko 'rozjedzie' w sytuacji, kiedy pojawiają się dwie potrzeby i będzie trzeba użyć jednostek na dwóch teatrach działań. A druga sprawa dotyczy relacji wzajemnych. Ja już odsuwam tutaj sprawę kosztów na bok, ale pozostają dwa aspekty.

Pierwszy, to wielkie kontrowersje jeśli chodzi o relacje między Unią i NATO w dużej mierze wynikają stąd, że Francja nie uczestniczy w strukturach wojskowych NATO. Gdyby bowiem w nich uczestniczyła, to nie byłoby problemu z utworzeniem wspólnego dowództwa wojskowego NATO i UE.

Drugi aspekt zakłada, że gdyby nawet do misji pod patronatem UE wchodziły inne kraje (nienatowskie), to są to państwa, których potencjał wojskowy i ewentualne zaangażowanie w taką operację pewnie byłoby bardzo niewielki. Jeżeli Francji w takiej strukturze nie ma, a wybucha konflikt i NATO ma reagować, to wtedy jest pytanie, co z tymi Francuzami.

I przedostatnia uwaga jest następująca. Mianowicie Francja przecież wyszła ze struktur NATO dlatego, że de Gaulle uznał, iż jej suwerenność nie pozwala na to, aby na terenie Francji znajdowały się jakieś obce struktury wojskowe czy jakiegokolwiek inne, które nie podlegają władzy konstytucyjnych organów tego kraju. Dowództwo międzynarodowe właśnie byłoby czymś takim i stąd musiało opuścić teren Francji. Podobnie, jeśli chodzi o podporządkowanie wojska francuskiego, jednostek francuskich strukturom wielonarodowym nie w czasach misji tylko w czasach zwyczajnych. Jeżeli jednak Francja zdecyduje się na to, żeby tworzyć takie struktury w ramach UE, to musi z tego świętego kanonu i z takiej zasady zrezygnować. W związku z tym pojawi się zapewne pytanie, dlaczego rezygnuje dla tego rodzaju wariantu, a nie może zrezygnować dla innego rodzaju.

I wreszcie ostatnia uwaga. Jak się ustosunkować do inicjatywy francusko-niemiecko-belgijsko-luksemburskiej. Sądzę, że Polska do tej inicjatywy powinna podejść poważnie, ale powinna od razu złożyć postulat, że to nie jest tak, że Polska dołącza się do tej inicjatywy, tylko, że proponuje rozmowę na ten temat, ale od razu w szerszym gronie, i to oczywiście od razu z Brytyjczykami. Bez tego po prostu nic nie wyjdzie. Jeżeli byśmy się zdecydowali na dołączenie do tej czwórki, jako kraj piąty, to nie sądzę, żeby to był z naszej strony dobry ruch. Natomiast budować struktury wojskowe w ramach UE jakoś trzeba i rozmawiać na ten temat jakoś trzeba, ale nie w formule 4 + 1, tylko znacznie większej 6, 8, czy 10, i to bez żadnego plusa w środku".

Nieco inne podejście do kwestii bezpieczeństwa zaprezentował prof. **Zdzisław Najder**, akcentując jej pozamilitarne aspekty:

„(...) zagrożenie militarne w tradycyjnym sensie wydaje się dzisiaj mało prawdopodobne, z czego wynika, że to przed czym miało nas bronić NATO, to jest coś co właściwie nam nie grozi. Złośliwi mówią, że NATO chroni nas przed niebezpieczeństwami, których nie ma. Warto jednak przypomnieć, co Zbigniew Brzeziński pisał 2 lata temu o możliwości konfliktu politycznie niejasnego. To jest mniej więcej to samo, co generał Bolesław Balcerowicz nazwał w książce *Pokój niepokój* kryzysem destabilizacji w pobliżu granic Polski. Taki niejasny kryzys, który może powstać w niejasnych okolicznościach politycznych, a z takimi mamy do czynienia za wschodnią granicą, niekoniecznie musi się zacząć od ataku lotniczego, przeciwdziałać można by mu było za pomocą lokalnych sił szybkiego reagowania. Warto dodać zresztą, że Zbigniew Brzeziński, komentując swoje pojęcie konfliktu politycznie niejasnego zauważał, iż nie musi on spełniać warunków kwalifikujących go do zastosowania artykułu 5 Traktatu waszyngtońskiego. Rzeczywiście wielka szkoda, że UE nie jest także unią obronną. Myślę, że powinniśmy ją w tym kierunku popychać w naszym własnym interesie kraju brzegowego. Byłoby też dobrze, przynajmniej na horyzoncie, zarysowywać perspektywę, że Traktat brukselski, który oferuje automatyzm, a którego nie ma w Traktacie waszyngtońskim stanie się dostępny dla wszystkich

państw, które zechcą do niego przystąpić. To wymagałoby dopuszczenia pogłębionej współpracy w dziedzinie obronnej. Wbrew stanowisku rządu polskiego, ja osobiście uważam, iż powinniśmy takie podejście popierać właśnie jako kraj brzegowy, w którego interesie leży jak największa liczba, jak najściślejszych więzów wewnątrz UE.

Pocieszam się jednak, że w wypadku tradycyjnego zagrożenia militarnego, po przystąpieniu Polski do Unii, będziemy mieli do czynienia z tzw. naruszeniem wspólnego obszaru demograficznego, ekonomicznego, a także walutowego, dla którego nie ma granic. Będzie to odebrane, czy się chce czy nie i czy jest traktatowe umocowanie czy nie, jako zagrożenie dla całej Unii. I UE będzie miała bardzo silny bodziec pozatraktatowy do użycia wszystkich swoich sił narodowych w obronie tego zagrożonego terytorium.

Ale ja chcę mówić głównie o zagrożeniach, o których się mówi mniej. Mianowicie o zagrożeniach typu politycznego, wynikających z niestabilności najbliższego otoczenia. Mam na myśli Wschód. Polega ono na braku w naszym najbliższym sąsiedztwie mechanizmów przekazywania władzy, na braku – czy nieistnieniu – społeczeństwa obywatelskiego. Także na tym, że próby wprowadzenia elementów demokracji podważają istniejące obyczaje polityczne i na tym, że stosunki między Rosją a resztą WNP są łagodnie mówiąc niejasne. Ponadto jeśli chodzi o cywilizację polityczną na wschód od naszych granic, to nie upodabnia się ona do europejskiej, tylko wprost przeciwnie. I chociaż zagrożeń bezpośrednich w tej chwili nie widać, to ja chciałbym się zastanowić nad nieco dalszym horyzontem czasowym i postawić tezę, iż ta niestabilność i nieprzewidywalność w dłuższej perspektywie czasowej (5,10,15 lat) może nam zagrażać na rozmaite sposoby. Nawet może doprowadzić do wspomnianego niejasnego konfliktu militarnego. Nie wiemy dobrze, jak się będzie rozwijała sytuacja w Obwodzie Kaliningradzkim, czy tendencje separatystyczne będą tam się powiększać, czy też zostaną zduszone (tak jak w tej chwili są duszone). To wszystko jest dla nas niejasne, a wpływ na to mamy bardzo niewielki. Ewolucja ta nie wydaje się być ewolucją w dobrą stronę w żadnym z państw, z którymi sąsiadujemy. A po naszym wejściu do Unii pytania o konieczną politykę bezpieczeństwa w wymiarze wschodnim robią się bardziej naglące. My zabezpieczamy się w sensie negatywnym, tzn. jesteśmy już prawie gotowi do uszczelniania granic. Zwracam uwagę na różnice w ocenie tej gotowości. Z punktu widzenia Brukseli jesteśmy już prawie gotowi, a z punktu widzenia Najwyższej Izby Kontroli jesteśmy zupełnie nie gotowi. Dlatego że przygotowaliśmy się do uszczelniania granic, ale nie jesteśmy przygotowani na to, aby zachowały one swoją przepustowość. I te zagrożenia powinniśmy brać pod uwagę w naszym planowaniu wojskowym, w naszej polityce budżetowej i w naszej aktywnej polityce zagranicznej, ponieważ można im przeciwdziałać nie poprzez stawianie oporu na granicy, tylko przez rozładowywanie tego co stanowi podłoże potencjalnych konfliktów, tzn. przepaści cywilizacyjnej w sensie cywilizacji politycznej między nami a naszymi wschodnimi sąsiadami.

Przed Polską jako członkiem UE stanie pytanie: ile ma być polityk wschodnich. Czy jedna? dwie, czy trzy? W tej chwili jest dosyć silna tendencja, żeby była jedna polityka wschodnia UE. Myślę, że powinniśmy lansować tezę, iż powinny być co najmniej trzy polityki: w stosunku do Białorusi, Ukrainy i Mołdawii. Rosja jest już starym sąsiadem Unii przez długą, ale zupełnie zamrożoną granicę (z Finlandią). Staje się ona nowym sąsiadem ze względu na Obwód Kaliningradzki, ale nie jest i moim zdaniem nigdy nie będzie kandydatem do Unii, niezależnie od tego co twierdzi premier Berlusconi. Uważam to za absurd, ponieważ Rosja jest za duża i nie chce tego. Wejście Federacji Rosyjskiej do czegoś takiego, jak UE oznaczałoby koniec Federacji. Przywódcy rosyjscy zaczną myśleć w ten sposób za pokolenie, na razie nie widać żadnych ku temu skłonności. Więc jest jedno państwo, które nie jest i nie będzie kandydowało do UE. Są dwa państwa, które zadeklarowały swoją chęć kandydowania, tzn. Mołdawia i Ukraina (w Mołdawii jest najwyższe na świecie poparcie dla integracji europejskiej, sięga około 90%) i jest czwarte państwo, czyli Białoruś, które jest szczególnym *casusem*. Trwanie tych trzech państw w sytuacji niejasnej, zawieszona między Rosją a UE, nadziei jakie budzą bliższe związki z Unią, trwających nacisków rosyjskich na zacieśnienie najrozmaitszego rodzaju więzów ekonomicznych, to jest właśnie ogromny potencjał destabilizacyjny i coś z tym trzeba zrobić.

Wiemy, że nasze narzędzia działania są bardzo słabe, tym bardziej że z nich nie korzystamy – nawet w przypadku, gdy moglibyśmy coś robić. Jest dużo deklaracji współpracy o strategicznym partnerstwie, o popieraniu, ale myślę że dobrze byłoby, aby miliony dolarów, które wydajemy na co innego wydawać np. na wymianę młodzieży. Żeby właśnie rozładowywać potencjalny materiał na destabilizację. Nie na atak za atak ze strony Białorusi czy Ukrainy, ale przeciwdziałaniem destabilizacji tych państw, która mogłaby się bardzo silnie odbić na nas. Tutaj jest zadanie dla naszego dialogu i współpracy z partnerami europejskimi.

Jak państwo wiedzą, minister Włodzimierz Cimoszewicz był jedynym, który mówił w Atenach o daniu Ukrainie jakiejś perspektywy na stowarzyszenie. Na Zachodzie nie tylko nikt nie chce obiecać stowarzyszenia, ale niewielu chce na ten temat rozmawiać. Jednak w naszym interesie jest żeby to robić i przekonywać partnerów w Unii, że destabilizacja za naszą wschodnią granicą byłaby szkodliwa dla całej Unii. A także, co jest jeszcze trudniejsze, przekonywać, że utrzymywanie tych trzech państw, zwłaszcza Ukrainy i Białorusi, w sferze rozgrywek między cywilizacją polityczną zachodnią a Rosją jest szkodliwe dla UE, dla Polski i nie jest zdrowe dla Rosji. Powtarzam starą tezę, że Rosja nie sprawująca kontroli imperialnej nad Ukrainą może być zdrowszym, normalniejszym państwem, które skupia się na własnym rozwoju, a nie na dominacji nad państwami ościennymi. Myślę, że z tego punktu widzenia patrząc, Polska powinna być bardzo zainteresowana wspólną polityką zagraniczną i bezpieczeństwa, aktywniej w niej uczestniczyć, także z wykorzystaniem np. Trójkąta Weimarskiego. Gdyby się udało wciągnąć dwoje wielkich partnerów Trójkąta do wspólnych inicjatyw, chociażby takich, jak zróżnicowanie wspólnej polityki zagranicznej UE wobec Wschodu, byłby to sukces.

I na zakończenie chciałbym dodać, że to jest teren ogromnie trudny, a my na niego wchodzimy od początku zastrzegając, że nie możemy pozwolić na osłabienie Paktu Północnoatlantyckiego, nie możemy pozwolić na osłabienie więzi transatlantyckich, nie możemy utracić suwerenności, nie możemy dopuścić do tego, żeby ktoś nas kiedyś przegłosował, nie możemy tego tamtego i owego. Gdyby w ten sposób tworzyć UE, to ona nigdy nie powstałaby. Niestety wchodzimy do UE ze złą reputacją i nadal ją potwierdzamy teraz, np. dołączyliśmy się do grona państw, które nie chcą rewizji Traktatu nicejskiego. Traktat nicejski był niedobrym traktatem, dlatego że zatrzymał reformę Unii, a my się upieramy, że nie chcemy rewidować tego postanowienia, czyli cofamy się nawet za Traktat amsterdamski. To jest postawa ostentacyjnego okazywania braku zaufania. Również my ze względu na nasze bezpieczeństwo musimy liczyć i będziemy musieli zawsze (tak długo, jak jesteśmy państwem brzegowym, a na pewno i dłużej) liczyć na europejską solidarność. Nie tylko na zbieżność interesów ekonomicznych, ale tą solidarność, która każe społeczeństwom wychodzić na ulicę i protestować, np. jak protestowali Francuzi w połowie grudnia 1981 roku przeciwko temu co się stało w Polsce. I my na budowanie takich postaw powinniśmy poświęcać wiele więcej myśli i uwagi”.

Jako ostatni w panelu głos zabrał prof. **Bogdan Koszel**, który skoncentrował się na zobowiązaniach Polski zarówno wobec *NATO*, jak i UE oraz konsekwencjach współpracy polsko-niemiecko-francuskiej, mówiąc m.in.:

„Kiedy Polska znajdzie się w Unii Europejskiej, będzie rzeczywistość musiała się zdefiniować: jak pogodzić udział w *NATO* z udziałem w *SDP* – to jest sprawa podstawowa. Wprawdzie traktaty zmieniające traktaty założycielskie, traktat z Amsterdamu czy traktat z Maastricht bardzo wyraźnie precyzują, że nie ma tutaj żadnych ograniczeń, aby zobowiązania wobec *NATO* stały w sprzeczności ze wspólną polityką zagraniczną bezpieczeństwa czy obrony. Ale w rzeczywistości wygląda ta sprawa zupełnie inaczej. Polska w moim przekonaniu była do bólu pragmatyczna, tzn. ze względu na swoje właśnie brzegowe położenie instynktownie wybierała i preferowała – i robi to do tej pory – Pakt Północnoatlantycki. Jeżeli chodzi o wspólną politykę zagraniczną bezpieczeństwa czy obrony, musimy

sobie odpowiedzieć na pytanie: na jakim etapie to w zasadzie się wszystko znajduje? Rzeczywiście jeżeli chodzi o kwestię *NATO* i europejskiej tożsamości obronnej, to naprawdę jest to dublowanie zadań, o czym tu już wielokrotnie wspominaliśmy. Poza tym mówimy tylko marginalnie o kosztach. Niby, jak mówią wojskowi, właściwie te koszty wielkie nie będą, bo odpowiednie jednostki już istnieją i to tylko kwestia wypełniania konkretnych zadań. Jednak za tym kryje się całe zaplecze logistyczne. Żeby ta wspólna polityka, a więc siły szybkiego reagowania mogły funkcjonować, to trzeba minimum 30 satelitów szpiegowskich, które kosztują olbrzymie pieniądze. Do tej pory, jeżeli była taka potrzeba, korzystano z usług Amerykanów, ale Amerykanie raz mogą udostępnić dane wywiadowcze, a innym razem nie muszą.

Wspólna polityka zagraniczna bezpieczeństwa i obrony, póki co ogranicza się do misji petersburskich, a więc humanitarnych (*peace keeping, peace making*), czy też akcji ratowniczych. W moim przekonaniu to jest jeszcze trochę za mało. Czyli problemem podstawowym jest pogodzenie tych właśnie spraw. Kwestia druga, to współpraca polsko-niemiecko-francuska w UE. Wyjdę z takiego założenia, może przekornego, że ja do końca wcale nie jestem pewny, czy współpraca francusko-niemiecka będzie miała rzeczywisty, realny kształt w przyszłości. Czy ona nie opiera się na doraźnym, bardzo silnie widocznym antyamerykanizmie, który oczywiście jest najgorszym spoiwem dla budowy jedności europejskiej? Czy ona rzeczywiście przetrwa? Cała dyskusja opierała się na tym, że to będzie taki tandem naprawdę wieczny.

Patrząc na funkcjonowanie UE można powiedzieć, że Niemców i Francuzów wiele dzieli. Niemcy pragną obniżenia swojego wkładu członkowskiego, Francja gorąco przeciwko temu protestuje. Jest też wspólna polityka rolna, na którą Niemcy bardzo krzywo patrzą. Nie ulega żadnej wątpliwości, że jeżeli ta wspólna polityka rolna nie będzie zreformowana, to ta Unia mówiąc kolokwialnie po prostu się rozłoży. Moim zdaniem, specjalnego znaczenia dla Polski nabierają w tym kontekście wspólne interesy i współpraca z Niemcami. Polska w UE będzie miała naprawdę wiele do powiedzenia. 27 miejsc w Radzie UE i docelowo 50 posłów w Parlamencie Europejskim, to jest naprawdę olbrzymi potencjał, który będzie można wykorzystywać. A patrząc na system funkcjonowania Unii stanowi on częstokroć doraźną zbieraninę różnego rodzaju frakcji, różnego rodzaju interesów, doraźnych sojuszy. I umiejętność znalezienia się w tym wszystkim, przekonywania do swoich racji, swoich argumentów będzie niezwykle ważna. Tymczasem w tematach polskich czy polsko-niemieckich najbardziej obecni w prasie są komentatorzy tacy, jak Klaus Bachman czy Michael Ludwik, ale poważnej publicystyki, poważnego zastanowienia się, jak będzie wyglądał sojusz polsko-niemiecki, zwłaszcza współpraca w Unii, brakuje.

I kwestia francuska. Nie ulega wątpliwości, że Francja będzie robiła wszystko, aby odciągnąć Europę od Stanów Zjednoczonych, a z kolei USA, co podkreślił niedawno Timothy Gordon Ash nie wyklucza, że w ich interesie leży rozbijanie Europy. Tutaj nie został podniesiony ten element, który bym silnie forsował. Nie możemy zapominać, że kiedy dojdzie do pełnego zjednoczenia Unii, a więc w gronie 27, a może 28 państw, to dla Stanów Zjednoczonych będzie to wielki problem i olbrzymią konkurencją gospodarczą. Musimy zadać sobie pytanie, czy w interesie amerykańskim leży słaba, czy silna Unia Europejska, czy też po prostu Unia, która Ameryce nie będzie sprawiała kłopotów? Czy Polska zachowała się dobrze w polityce zagranicznej, to jest odrębny problem. W moim przekonaniu, kiedy Polska przystąpiła do *NATO*, nastąpiła swego rodzaju natoizacja polskiej polityki zagranicznej, a więc zachylińście się współpracą z Amerykanami, ale przyszła sprawa Iraku i w moim przekonaniu list ośmiu i grupy wileńskiej był zupełnie zbędny”.

Ważne głosy padły także w dyskusji wieńczącej tę popołudniową część obrad. Jej uczestnicy skoncentrowali się na pogłębieniu i poszerzeniu zagadnień poruszanych przez panelistów. Dyskusję zainaugurował prof. **Eberhard Schulz**:

„Moim zdaniem problem perspektywy wojny nie jest obecnie najważniejszy, jeśli chodzi o zewnętrzne zagrożenia dla Polski. Do niedawna takim najważniejszym zagrożeniem były Niemcy. Obecnie są one zneutralizowane przez integrację europejską. Stąd dziwię się, że wielu Polaków nie dostrzega tego

elementu i jednocześnie potrzeby pogłębienia integracji w celu dalszej neutralizacji Niemiec. Drugi problem to Rosja. W tym przypadku w interesie Stanów Zjednoczonych leży, aby kraj ten nie dominował w Europie i z tego powodu w interesie Polski jest ścisła współpraca z Amerykanami. Co będzie ze wspólną europejską polityką zagraniczną i obronną? Ja nie wierzę w taką politykę. Opór Francji przeciwko niej bierze się nie dlatego, że Francuzi są antyamerykańscy, ale dlatego że taka jest psychologia tego narodu. Oni nie zapomnieli o swej imperialnej przeszłości i z tego powodu nie mogą tolerować supremacji amerykańskiej. Jednocześnie w praktyce okazuje się, iż w ostatnich dziesięcioleciach Francja współpracowała z Amerykanami we wszystkich konfliktach. I to jest zadanie polityki – stworzyć warunki dla tego typu współpracy”.

O modelu sił zbrojnych, wynikającym z kampanii w Iraku i naszego zaangażowania w administrowanie strefą stabilizacyjną mówił gen. **Stanisław Koziej**:

„(...) powinniśmy zdecydowanie postawić na armię zawodową. Doświadczenia kampanii militarnej i nasze organizowanie się do udziału w misji stabilizacyjnej wskazują na to, że armia z poboru okazuje się mało przydatna do udziału w takich operacjach ekspedycyjnych. Jednocześnie przebieg kampanii pokazał, iż tego typu armia nie nadaje się również do skutecznej obrony własnego terytorium”.

Do dylematu pomiędzy lojalnością wobec struktur euroatlantyckich a rozwiązań europejskich odniósł się dr **Jarosław Bratkiewicz**:

„(...) podejrzewam, że ten dylemat jest z natury rzeczy fałszywy, zwłaszcza w obliczu zagrożeń, przed którymi stoi zarówno europejska, jak i amerykańska cywilizacja. W związku z tym trzeba je wspierać, aby z Europy – ekonomicznego giganta, ale politycznego karła – uczynić podmiot międzynarodowy godny swej roli. Podmiot, który będzie się włączać aktywnie w życie międzynarodowe w skali światowej i podmiot, który będzie w sposób skuteczniejszy reagował na zagrożenia i działał w strukturze globalnej w ścisłej współpracy ze strukturami euroatlantyckimi. Wydaje się, iż w chwili obecnej priorytet ma jednak *NATO*. Dlaczego? Przede wszystkim istnieje. *NATO* już teraz deklaruje gotowość selektywnego zaangażowania globalnego, podczas gdy europejska polityka obronna, będąc w powijakach może czynić jedynie szczytne zapewnienia, nie mające pokrycia w realnych faktach. To, co przemawia za przewagą *NATO*, to fakt, że w Sojuszu są Stany Zjednoczone. Wynikają stąd kolejne różnice pomiędzy USA a Europą. Europa wydaje się absolutyzować użycie środków politycznych i dyplomatycznych. Jest to konsekwencja biegu wydarzeń po wojnie i zarazem uboczny, a może i główny produkt funkcjonowania UE. Takie podejście nie jest do końca prawdziwe, jeśli podobne rozwiązania próbuje się zastosować w skali globalnej.

Druga rzecz różnicująca, to atrofia czynu. Czyn był czynnikiem, który cywilizował przez stulecia Europę. Była to gotowość do aktywnego angażowania się i aktywnego przeciwdziałania. Myślę, że to właśnie Stany Zjednoczone są tym krajem, który próbuje realizować ten właśnie tradycyjny kierunek działania europejskiego. W obecnej sytuacji pewne mechanizmy działania, które są skuteczne na gruncie europejskim, zawodzą w kontaktach z niektórymi podmiotami pozaeuropejskimi, a szczególnie tymi, które stosują dyplomację nienowoczesną, wyrafinowaną, opartą na nihilizmie, tradycjonalistyczną, dyplomację szantażu, oszukiwania i zwodzenia (dyplomacja XVIII w.). Pogląd, iż za pomocą tych mechanizmów uda się ugłaskać państwa, które określamy jako hultajskie, że uda się udomowić bestię jest zupełnie bezpodstawny. I w tym kontekście uważam, że Amerykanie działają o wiele skuteczniej i o wiele lepiej rozumieją sygnały wysyłane przez takie państwa, jak Iran i KRLD”.

Na często pomijaną rolę Unii Zachodnioeuropejskiej w swym wystąpieniu zwrócił uwagę dr **Janusz Onyszkiewicz**, stwierdzając m.in.:

„(...) chociaż UE przejęła większość zadań UZE, to nie mogła przejąć artykułu piątego (gwarancji bezpieczeństwa). Pomimo tego UZE formalnie istnieje i zastanawiam się, czy myśmy jej za wcześnie nie pogrzebali. Jak już proponowałem: skoro rozmowy o obronie europejskiej nie przynoszą rezultatów w ramach UE, to czy nie moglibyśmy ich toczyć w ramach UZE. Niechęć Francji do tego rozwiązania jest – jak podejrzewam – spowodowana uczestnictwem w UZE m.in. Wielkiej Brytanii. Polska wchodząc do *NATO* uzyskała bardzo wysoki status członka stowarzyszonego w UZE. Następnie przez zamrożenie działalności UZE status ten niejako straciliśmy. Zagwarantowane nam konsultacje polegały jedynie na informowaniu naszych ministrów obrony o podjętych przez UZE decyzjach. Rosja w tym czasie odbywała dwa razy więcej konsultacji niż my. Chociaż inicjatywa czwórki państw przeciwnych Stanom Zjednoczonym podczas wojny w Iraku nie została zamknięta, to nikt do niej formalnie nie został zaproszony. Zatem resztę państw postawiono w sytuacji petentów, którzy muszą złożyć podanie o przystąpienie. Różnica pomiędzy Europą i Stanami Zjednoczonymi, co do zasadniczych celów politycznych, w przyszłości będzie pewnie stosunkowo niewielka. Decydują o tym wspólne interesy gospodarcze i wspólny system wartości. W końcu w Europie wszyscy się cieszą, że reżimu Saddama już nie ma. Problem leży nie w celach, lecz w środkach jakich się używa do ich realizacji i w ocenie skuteczności tych środków. Są w to wplecione ambicje niektórych krajów, a w szczególności Francji. Państwo to w rozmowach z USA przedstawiało siebie jako ucieleśnienie najpierw EWG, a teraz UE. Problemem jest, czy Francja w dalszym ciągu będzie próbowała to robić.

Ostatnio prezydent Chirac zarzucał nam, że przeciwstawiliśmy się Europie. Czy będziemy zatem postawieni w sytuacji wyboru i jak Polska ma postępować. Musimy zająć jakieś stanowisko, a polska polityka zagraniczna musi być czytelna. Jeśli chcemy aktywnie oddziaływać na nasze środowisko polityczne, to nie możemy liczyć na przeczekanie i przetrwanie. Jeśli chodzi o zmianę doktryny Niemiec, to trzeba zauważyć, iż wcześniej swoje doktryny zmieniły Holandia czy Belgia. Tam stratedzy dawno doszli do wniosku, że armie tych krajów nie powinny być nastawione na obronę terytorium, bo nie ma takiego zagrożenia i wnioskowali przejście na armie typu zawodowego. To samo dzieje się z Niemcami, którzy nie potrzebują już *Leopardów* i przekazują je nam, bo jesteśmy tymi którzy sprawiają, że Niemcy nie są krajem brzegowym”.

Konferencja była niezwykle ważnym elementem toczzonej, zwłaszcza w ostatnim czasie, dyskusji na temat perspektyw współdziałania Europy i Stanów Zjednoczonych oraz dylematów polskiej polityki zagranicznej. Prelegenci, zwłaszcza na przykładzie kryzysu irackiego, wykazali, iż chwieje się dotychczasowy wzorzec relacji transatlantyckich z powodu rosnących ambicji Unii Europejskiej w zakresie polityki bezpieczeństwa jako reakcji na pojawienie się tendencji unilateralnych w polityce USA. Zebrani szczególną uwagę poświęcili potrzebie więzi transatlantyckich, których trwałość leży w interesie polskiej polityki zagranicznej.

Opracowanie: *Radosław Grodzki*



Maria Rutowska

WYSIEDLENIA LUDNOŚCI POLSKIEJ Z KRAJU WARTY DO GENERALNEGO GUBERNATORSTWA 1939-1941

Seria Prace Instytutu Zachodniego nr 71

Streszczenie w języku niemieckim

stron 302, cena 32 zł

Prezentowana praca podejmuje problematykę związaną z wysiedleniami Polaków i Żydów do GG, przede wszystkim z terytorium okręgu administracyjnego Kraj Warty. Scharakteryzowane zostały plany i realizacja wysiedleń, organizacja i metody ich przeprowadzania oraz warunki, w jakich odbywały się transporty z wysiedlonymi. Istotnym ogniwem w prowadzonej polityce wysiedleńczej były specjalnie utworzone obozy dla deportowanej ludności. Przytoczone w pracy wspomnienia i relacje wysiedlonych osób, opisujące ich pobyt w obozach przesiedleńczych wskazują, iż ten fragment okupacyjnej rzeczywistości był bardziej okrutny niż jej obraz odtworzony na podstawie przyjętych przez okupanta planów, zarządzeń i instrukcji.